

Dom bez fantazji

665
ANDRZEJ HAJDUK

Po jachcie przekształconym w mieszkalny dom snują się ludzkie rośliny — połamane, pomięte, nieodrosłe, strute. Nawet te, które zdają się kwitnąć, w gruncie rzezy są zgniłe i butwieją od toczącej je choroby. Ubogi frajer oszukany w interesach jest tu tak samo głupi jak bogaty oszust, cyniczna żona — równie wyrachowana, jak wchodząca dopiero w dorosłe życie młoda panna. Czarne jest białym, albo na odwrót, ale nie ma to dla nikogo większego znaczenia. W takiej moralnej próżni wypełnionej jedynie pośpieszonymi romansami przeliczanymi na pieniądze nie jest przypadkiem to, że jedyny głos rozsądku i jakiejś takiej trzeźwości umysłu należy do zidiociałego starca. To właśnie świat „Domu złamanych serc” Bernarda Shawa.

Nie przypadkiem też Shaw opatrzył swoją sztukę podtytułem „Fantazja w stylu rosyjskim na tematy angielskie”. Po domu złamanych serc chodzą anglosaskie parodie bohaterów „Wiśniowego sadu”, tyle że dusze u nich spłaszczony niczym naleśniki. Obdarzył Shaw swoje postacie nazwiskami jak reklamowe naklejki. Shotover, Hushabye, Utterword to w języku angielskim skróty pewnych cech charakteru, a brzmią trochę tak, jakby polskim postaciom przypisać nazwiska Przestrzelec, Dzierżysekret, czy Słowobślizgła.

W spektaklu „Domu złamanych serc” legnickiego Teatru Dramatycznego główni wykonawcy niestety aż nadto dostosowali się do swoich scenicznych nazwisk. Janusz Sykuterą w roli Kapitana Shotover czyli Przestrzelca przestrzelił kilka razy dość mocno, a postać przezeń budowana nigdy nie doczekała się ukończenia robót. Ogromny ładunek wygłaszanych przez Kapitana ważkich słów, duża porcja typowego dla Shawa cynizmu, paradoksu, gorzkiej krytyki — słowem wiele z tego co całej rzeczy padaje specyficzny klimat sceniczny i językowy przepadło i zatraciło się w schematycznej, płytkiej propozycji aktorskiej.

Elżbieta Miłowska jako Lady Utterword vel Słowobślizgła niewiele różniła się od Elżbiety Miłowskiej w „Klubie kawalerów”, lub od innych Elżbiet Miłowskich w paru innych oglądanych przeze mnie na legnickiej scenie przedstawieniach. Gdy wszelkie potknięcia maskuje się niezmiennie tym samym uśmiechem i uwodzicielską pozą, każda w zasadzie postać pokrywa się tą samą patyną. A gdy już o śmiechu mowa, to warto się zastanowić nad celowością wykorzystywania natrętnie tego właśnie środka wyrazu przez Renatę Kulicką (Hesjona Hushabye vel Dzierżysekret), co w takim natężeniu jest po prostu bez sensu. Nieco jaśniejszymi nośicielami złamanych serc okazali się Tadeusz Kamberski (Mazzini Dunn), Mariusz Olbiński (Randall Hushabye) oraz momentami Danuta Kołaczek (Ellie Dunn), ale to stanowczo za mało, by owa fantazja Shawa przestała być fantazją bez fantazji.

Ogólnemu zamysłowi reżyserskiemu zabrakło bardzo tu potrzebnej stanowczości i konsekwencji. Z legnickiej sceny nie wyziera ani Shaw — kpiarz, ani Shaw — sędzia ludzkich postaw, ani też Shaw — moralizator. Jest w spektaklu wiele elementów kpiarskich, moralizatorskich i osadzających, ale są one rozsiane nierównomiernie, pojawiają się to przypadkowo, to znów w sposób zamierzony. Żadna z warstw sztuki nie została wykorzystana w pełni, na żadną nie postawiono, a warstwa komediowa pokazana została w sposób bardzo niepewny.

Na koniec zachowałem zastrzeżenie drobne, ale dla mnie ważne. Nie wiem, kto poradził aktorom wymawiać nazwisko Hushabye jak polskie Haszbi, bo przybliżona wymowa poprawna (i wcale nie trudniejsza) winna brzmieć Hászebaj. Nie chodzi tu o jakąś fonetyczną perfekcję, a jedynie o to, że my też się krzywimy, gdy nam w Ameryce robią z Kościuszki Kazjaškę.

Legnicki Teatr Dramatyczny. George Bernard Shaw — „Dom złamanych serc”. Reżyseria — Irena Górska-Damińska. Scenografia — Stanisław Bakowski. Opracowanie muzyczne — Jerzy Rejzler. Premiera — 18 października 1930.